

LARS SAABYE  
CHRISTENSEN

MOJA CHIŃSKA  
BABCIA

PRZEŁOŻYŁA  
IWONA ZIMNICKA

MARGINESY

*Min kinesiske farmor*

COPYRIGHT © Lars Saabye Christensen and Grif, 2020

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Iwona Zimmnicka

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,  
Warszawa 2023

# 1

– Ten zegar jest jakiś dziwny.

Mówi tak mój ojciec. Siedzę przy jego łóżku, na którym leży i umiera. Ma prawie dziewięćdziesiąt lat. W zagłębieniu szyi widać plaster z morfiną, nie większy od kawałeczka papieru, jakie nasi ojcowie przyklejali sobie, kiedy się skaleczyli przy goleniu, to znaczy zanim upowszechniły się maszynki elektryczne, pod koniec lat pięćdziesiątych, i również w tym czasie przyjeżdżała do nas w odwiedziny z Kopenhagi babcia, matka ojca, na ogół latem, mówiła, że najbardziej lubi Oslo właśnie o tej porze, powietrze, widoki, ludzi. Bywało, że przywoziła nam jakieś prezenty, na ogół coś do jedzenia, coś słodkiego, coś duńskiego, landrynki, czekoladki, czekoladę, dlatego wydawało nam się, że przybywa z innego świata, i w moich oczach to się wciąż nie zmienia. Kiedyś przywoziła ze sobą także gruby brulion oprawiony w niebieski plastik; na okładce napisane było *Rok za rokiem*, a w środku *Memo-riat. Zwięzły porównawczy diariusz na 5 lat do odnotowywania wydarzeń godnych zapamiętania*. To musiało być w roku 1960, tym samym, w którym zacząłem chodzić do szkoły powszechnej. Najczęściej jednak to my jeździliśmy do babci,

płynęliśmy „duńskim” promem albo jechaliśmy samochodem marki Volvo Duett, który nazywaliśmy Autem Mleczarza, ale to było nieco później, bo ojciec zrobił prawo jazdy dopiero w 1963 roku, chociaż już dawno miał uprawnienia na motocykl, egzamin zdał w wojsku, w Viborgu, gdzie służył w korpusie inżynieryjnym, i za każdym razem, gdy dostawał przepustkę, jeździł do Kopenhagi swoim royal enfielDEM, pozostawionym przez Anglików, na który wszyscy mówili Royal Enfold, czyli Królewska Głupota, bo przecież w Danii większość rzeczy była królewska pod takim czy innym względem. Motocykl miał boczną przyczepkę, a kiedy pojawiła się moja matka – tuż po wojnie pracowała jako au pair u pewnego hurtownika w drogiej dzielnicy willowej wzdłuż Strandveien nazywanej Pasem Whisky – ona jako jedyna miała prawo do tej przyczepy wsiąść. Potrafię sobie to wyobrazić, ale mimo wszystko nie takich ich znam, znam ich od innej strony, poza tym jest oczywiste, że to wspomnienie sprzed mojego czasu, utworzone na podstawie pojedynczych zdjęć i zdarzeń, o których oni sami opowiadali, lecz o tym okresie, o zaręczynach, mówili mało, byli dyskretnymi ludźmi, strzegli swojej prywatności, także przede mną: pełnym gazem po prostych duńskich drogach, prawdopodobnie wzdłuż wybrzeża, w stronę Hornbæk, gdzie rodzina miała dom na wsi, szale powiewają im za plecami, skórzane kurtki, ojciec nosi kask, ale matka ma tylko czapkę albo kapelusz, czarny męski kapelusz, od czasu do czasu musi go mocno przytrzymywać, rękawiczki, ciemne okulary, twarze, które jaśnieją, które lśnią. Ich młodość jest mi absolutnie obca. Ale mimo to wyobrażam sobie tę ich wolność bez najmniejszej skazy, nieograniczoną i beztroską, nawet wojna się skończyła, a przy tej okazji my-

ślę sobie, że to właśnie tę wolność odbierają rodzicom dzieci w momencie przyjscia na świat. Z willi przy Julianehåbsvej, gdzie mieszkała babcia, pamiętam głównie chińskie przedmioty: kufry, broń, dywany, wazony, figurki, krzesła, nadające wnętrzu charakter jak ze snów, który wraz z obcym zapachem ziół, suszonych płatków róż czy perfum, a może czegoś innego, z zapachami, których nie potrafiłem określić, kojarzył mi się i ciągle mi się kojarzy z innym światem. I właśnie owego innego, drugiego świata usiłowałem osiągnąć w całej swojej twórczości. Ojciec ma na myśli zegar na krótszej ścianie. Uważa, że jest dziwny. Ja też nie mogę pojąć, dlaczego tam wisi.

- Poprosić, żeby go zdjęli?
- Dlaczego?
- Pomyślałem, że może ci przeszkadza.
- Dlaczego miałby mi przeszkadzać?
- No, to ty powiedziałeś, że jest...

Ojciec mi przerywa, prawie ze złością:

- A ty tego nie widzisz?!
- Próbuję się śmiać.
- Że jestem poza godzinami odwiedzin?
  - On źle chodzi!
  - Tak? Jesteś pewien?

Patrę na swój zegarek. Wskazuje wpół do czwartej, tak samo jak zegar na ścianie. Moje godziny są w zgodzie z czasami świata. Ja chodzę dobrze. To ojciec się myli. Tak czy inaczej, oburza mnie, że umierając, musi leżeć i patrzeć na ten przekłety zegar, jakby ktoś miał ochotę mierzyć mu czas w takim stanie. Śmierć i tak zawsze oznacza rekord osobi-

sty, wszystko jedno, jak daleko czy jak blisko się zajdzie. W szpitalach zegary są niepotrzebne, podobnie lustro. Chcę coś z tym zrobić. Przynajmniej tyle mogę. Ale ojciec mnie uprzedza:

– Przecież on idzie do tyłu!

– Aż tak źle chyba nie jest.

Natychmiast żałuję, że to powiedziałem. Jeżeli ojciec widzi to w ten sposób, nie mam żadnego powodu, by wątpić w jego słowa. To by było nieprzyzwoite. Chcę najlepiej jak potrafię chronić jego prawdę, chociaż ona wydaje się wręcz dostosowana do mnie, dlatego nieprawdziwa. Nie wiem tylko, jak mam to powiedzieć. Rzadko czy wręcz nigdy nie rozmawialiśmy o moim pisaniu, ojciec czytał rzecz jasna moje książki, lecz rzadko lub wręcz nigdy ich nie komentował. Może teraz jest okazja. Mógłbym powiedzieć coś o tym, że pisanie, tworzenie literatury pięknej jest podobnym zegarem, anachronicznym, spóźnionym, często zatrzymanym w przypadkowym punkcie między godzinami, a jest tak zwyczajnie dlatego, że tekst ma objąć więcej niż mój własny czas, dlatego znanie się na zegarku, jak się mówiło w dzieciństwie, nie wystarcza. Mógłbym przy tej okazji wspomnieć także zegarmistrzów z Drammensveien, mieli swoje zakłady jeden przy drugim naprzeciwko parku Zamkowego, ojciec zabrał mnie do jednego z nich i wtedy dostałem swój pierwszy zegarek, o ile dobrze pamiętam, to był jedyny raz, kiedy gdzieś mnie zabrał, byliśmy sobie bliscy, lecz tę bliskość okazywaliśmy rzadko albo wręcz nigdy. Nie o tym chcę mu przypominać. Nie mam takiego zamiaru. Raczej powiem, że to ci zegarmistrzowie zainspirowali mnie do napisania mojego pierwszego wiersza, to znaczy wiersza, który mogłem uwa-

zać za swój, wyłącznie swój, bo o tym, co zobaczyłem wtedy, nikt inny oprócz mnie nie mógł napisać. Stałem więc przed witryną jednego z zegarmistrzów na Drammensveien i nagle zobaczyłem, że każdy z zegarów na wystawie wskazuje inny czas. Ujrzałem to nagle, jakby jednym haustem, dlatego ten widok można porównać do czegoś w rodzaju wizji, miałem wtedy dwanaście lat, ale tu, w szpitalu Diakonhjemmet latem 2009 roku, czterdzieści pięć lat później, wciąż mam wyraźnie przed oczami witrynę zegarmistrza i przychodzi mi do głowy myśl, że pisanie i łoża śmierci łączy czas. Mówię:

– Opowiedz mi o Chinach.

## 2

Brulion od babci, pamiętnik czy też m e m o r i a ł, z czasem stał się moją najcenniejszą własnością. Nie było w nim miejsca na wspomnienia, zwyczajnie dlatego, że nie miałem jeszcze własnej historii, więc nie miałem co pamiętać. To jedyna wolność, jaką ma dziecko. Wspomnienia dopiero wychodziły mi na spotkanie, w postaci marzeń przebranych za oczekiwania i nadzieje. Wykorzystałem jednak ów brulion do stworzenia sobie życia prywatnego. Nie należy przez to rozumieć, że wypełniałem go tajemnicami, zakazanymi myślami, brzydkimi słowami czy też innym nietolerującym światła dziennego tekstem, ależ nie, skąd, to byłoby do mnie całkiem niepodobne. W memoriale nie znalazło się nic, czego nie mógłbym pokazać rodzicom czy na przykład babci, lecz istniał pewien wzór ukryty w dokonywanych przeze mnie w y b o r a c h, wzór, którego nawet ja nie potrafiłem dostrzec, i dlatego być może właściwe jest mimo wszystko stwierdzenie, że zapisywałem w brulionie tajemnice, swoje jawne tajemnice: zapisywałem adresy.

W tym okresie, w ostatniej klasie szkoły powszechnej, a następnie jesienią 1967 roku, kiedy poszedłem do szkoły realnej, pracowałem po lekcjach jako posłaniec w kwiaciarni

Radoor przy Frognerveien. Trzy dni w tygodniu jeździłem na rowerze z bukietami w kartonowym pudle na bagażniku. Po powrocie do domu natychmiast wyjmowałem memoriał i zapisywałem adresy, pod które dostarczyłem kwiaty, nic więcej, nie to, ile zarobiłem za każdy przejazd ani czy dostałem jakiś napiwek, nie zapisywałem nawet dat, tylko te adresy, w kolejności alfabetycznej. Pod „J” widnieją na przykład:

Josefines gate, Klinika

Jacob Aalls gate 49

Josefines gate, Klinika

Jacob Aalls gate 12

Josefines gate 2

Josefines gate, która wzięła swoją nazwę od szwedzkiej królowej Joséphine, biegnie z Uranienborga do Homansbyen, przy tej ulicy mieszkało wiele osób z mojej klasy w powszechniaku; na szczęście nigdy nie dostarczałem kwiatów pod ich adresy; nie bardzo wiem dlaczego, ale wydawało mi się, że nie wypada, że naruszyłyby to jakiś porządek. Sam zresztą urodziłem się w klinice na Josefines gate, 21 września 1953 roku, podobno poród był dla matki bardzo męczący, ponieważ przyszedłem na świat nogami do przodu, a więc zmęczyło to również mnie, i chociaż dwukrotnie zawoziłem w to miejsce kwiaty, przypominam sobie zaledwie fragmenty wnętrza, ale pamiętam szerokie schody, mocną poręcz z kamienia, zaokrągloną i gładką, przyjemną pod sunącą po niej dłońią, wyraźny odgłos swoich kroków, a poza tym ciszę przynależną takiemu miejscu. Paczkę musiałem oddać w czymś w rodzaju recepcji, gdzie starsza pani w białym

stroju pielęgniarki podpisywała karteczkę, którą później oddawałem panu Radoorowi, potwierdzenie wykonania zlecenia, ale taki kwitek można było uznać również za pasek wypłaty: był wart półtorej korony. Jacob Aalls gate, która zaczyna się w okolicy Vestkanttorget i dalej biegnie aż do Fagerborg, była dobrą ulicą do dostarczania kwiatów, łatwo znajdowało się poszczególne numery, a jeśli musiałem dodatkowo przeciąć Suhms gate, dostawałem dodatek w wysokości pięćdziesięciu øre, a zatem w sumie dwie korony. Kiedy wybierałem się tak daleko, zwykle za jednym zamachem zawoziłem też przesyłki do szpitala Ullevål. Potem mogłem zjeżdżać w dół Kirkeveien bez pedałowania, z kieszenią wypchaną papierami wartościowymi i z jedną ręką na kierownicy! Numer 49 znajdował się natomiast na rogu z Ole Vigs gate, ale nie przypominam sobie nic szczególnego w związku z tym numerem, miesza mi się on z innymi równie bezimiennymi adresami, z przyćmionym światłem przenikającym przez kolorowe szybki w oknach tych starych klatek schodowych ze stulecia poprzedzającego moje stulecie.

Pod „S” widnieją:

Studencki Dom

Skovveien 15

Skovveien 7

Schives gate 12

Stensgata 16

Skovveien 20

Skovveien, czyli Leśna, znajdowała się tuż koło kwaciarni i swego czasu nadano jej nazwę od lasów w okolicy Ura-

nienborga. Dom pod numerem 7 był dość nowoczesną jak na Skovveien kamienicą w stylu funkcjonalistycznym, zaprojektowaną przez architekta Frithjofa Stouda Platou w 1936 roku; to właśnie u niego zatrudniony został mój ojciec, kiedy przyjechał z Kopenhagi do Oslo, i pracował w tym biurze projektowym przez resztę życia. Pamiętam, że pod numerem 7 nikogo nie zastałem. W takiej nowoczesnej kamienicy mieszkali bowiem nowocześni ludzie. Sąsiedzi też nie otwierali; o mało nie wyrwało mi się, że na szczęście, bo proszenie kogoś o przyjęcie kwiatów dla innych nigdy nie było przyjemne, ludzie przez moment sądzili, że przesyłka jest dla nich, a rozczarowanie, które próbowali ukryć, było nie do zniesienia. Musiałem więc w końcu zostawiać bukiet pod drzwiami i mieć nadzieję, że ktoś wróci do domu, zanim kwiaty zwiędną, wysoce niezadowolające rozwiązanie, ponieważ nie dostawałem pokwitowania, co z kolei denerwowało pana Radoora, który i bez tego zawsze był surowy. Tuż obok numeru 7 mieściła się szkoła Vestheim i tam właśnie chodziłem do pierwszej klasy szkoły realnej. Wolałem nie spotykać żadnych znajomych, zresztą zdarzało się to rzadko, na ogół nikt mnie nie widział, po zastanowieniu stwierdzam, że właśnie tak było, nigdy nikogo nie spotykałem, byłem niewidzialnym posłańcem rozwożącym po mieście dobre nowiny: kwiaty. No ale to było po lekcjach, kiedy opuszczone szkolne boisko wzbudzało we mnie senną melancholię. Schives gate otrzymała swoją nazwę od numizmatyka Claudiusa Jacoba Schivego, który badał rzymskie monety. Ulica zaczyna się na Arno Bergs plass, a kończy przy Vestkanttorget; to dwa punkty geograficzne, które w moich snach o Oslo reprezentują koleżeństwo i muzykę. Lubiłem kolorowe budynki

przy Schives gate, czerwone, zielone, żółte, otoczone małymi ogródkami. Na Schives gate zawsze ktoś był w domu, zazwyczaj tam też dostawałem największe napiwki. W przeciwieństwie do Stensgata. Tej ulicy prawdopodobnie nadano nazwę od kamienia. W każdym razie Stensgata to ponury odcinek od Thereses gate do Ullevålsveien, jej miejsce jest jakby właśnie tutaj, na wschodnim skraju dzielnicy Fagerborg, i chyba nie przypadkiem mieściły się przy niej takie instytucje jak Miejski Dom dla Starych Kobiet czy Dom Dziecka „Dla Dobra Maluchów” oraz kolonia domków dla starców. Numer 16 był całkiem nową czynszówką, o ile dobrze pamiętam, i należało najpierw zadzwonić na dole, żeby zostać wpuszczonym na klatkę, a następnie wytłumaczyć, kim się jest i w jakiej sprawie się przychodzi, co bywało trudne, a często również nieprzyjemne, ponieważ mieszkańcy podejrzewali, że ktoś chce ich oszukać. Nie, nie lubiłem Stensgata, wolałem w ogóle tam nie jeździć, chociaż zlecenie było warte dwie korony. Dom studencki mieścił się na Underhaugsveien, między Pilestredet a Bogstadveien, z tego, co wiem, mieszkali tu jedynie religijni studenci, ale dlaczego ktoś z nich miał dostać kwiaty, nie mam pojęcia.

Mam przed oczami powolność tych adresów, szczegółowy plan przemierzania wzdłuż i wszerz miasta, w którym się wychowałem; kojarzy mi się to z dawną grą w państwa, w którą często bawiliśmy się w parkach. Rzucaliśmy scyzorykiem, który z drzeniem wbijał się w ziemię, i od punktu wbicia ciągnęliśmy linię wyznaczającą, co przechodzi do nas, a co pozostaje własnością przeciwnika. Dopiero teraz te adresy, które miały zawierać jedynie chwilę, tamten dzień, stały się wspomnieniem. Czas wyrócił memoriał do góry noga-

mi, trochę jak żółwia, który popchnięty mocną falą bezradnie leży na grzbiecie.

Potem zacząłem pisać wiersze. Uruchomił to widok zegarów u zegarmistrzów przy Drammensveien. Prawdopodobnie w połączeniu z tekstami na płytach, których w tym okresie słu-chałem, The Beatles, The Lovin' Spoonful, The Kinks, a z cza-sem The Doors. Moim największym marzeniem, wspólnym dla wszystkich moich rówieśników, było zostać członkiem kapeli. Jaki jednak mógł być mój wkład? Owszem, chodziłem na za-jęcia do Akademii Fortepianu na Solli plass. Ale żaden zespół w Oslo nie potrzebował pianisty grającego muzykę klasycz-ną. W końcu przyszło mi do głowy rozwiązanie poniekąd awaryjne: mogłem pisać teksty. A mówiąc to innymi słowa-mi, na tyle prawdziwymi, na ile mogą być prawdziwe: nie mogłem się powstrzymać od pisania tekstów. Zapi-sywałem je między adresami. Nie założyłem do tego osob-nego zeszytu, tylko wykorzystywałem ten sam brulion od babci. Z łatwością mogłem zdobyć nowy, bo ojciec, jak już wspomniałem, był architektem i na jego pochyłym stole kreślarskim ustawionym w jadalni leżało mnóstwo notat-ników, zeszytów oraz luźnych kartek. Najwyraźniej uważa-łem, że adresy i moje wiersze są ze sobą związane, nie można ich więc rozdzielać, umieszczając w dwóch różnych zeszy-tach. Dlaczego tak musiało być, oczywiście nie rozumiałem. Bez wątplenia łączyło się to w jakiś sposób z moim życiem prywatnym, ale kryło się za tym coś więcej. Bo właśnie w tym wyborze, w powiązaniu adresów z wierszami, tkwi ów ukryty wzór. Musiałem przeczuwać, że to ma jakieś znaczenie. Już owo przecucie samo w sobie było znaczące. Chyba należy rozumieć to tak: wspólne dla wierszy i adresów było miasto,

krótko mówiąc, mój promień poruszania się, moja geografia możliwości, ogniwo łączące fantazje z przynależnością stanowiła zaś przede wszystkim babcia. Chciałem, żeby właśnie tak było.

Podczas gdy adresom nie da się nic zarzucić, w tym sensie, że nie można nic w nich zmienić, wiersze są takie sobie. Nie będę się przy nich zatrzymywał. Chcę tylko przypomnieć, że jest rok 1967, tej jesieni skończyłem czternaście lat i słucham między innymi *Magical Mystery Tour*, a zadziwia mnie szczególnie *I'm the Walrus*. Dlatego między Riddervolds gate a Pilestredet potrafią się pojawić na przykład takie strofki: „Czy kiedykolwiek wspinałeś się na ratusz, myśląc jak plująca jadem kobra i pękając ze śmiechu? Siedzisz na czubku masztu, wydaje ci się, że głowa ci utknęła. Cały czas umierasz”. To było szczere, ale prawdę piszę dopiero, gdy układam wiersz o zegarmistrzach na Drammensveien: „Kiedy widzę / jednocześnie dwa zegary / które pokazują różną godzinę / zacynam się bać / Czy to ja / źle chodzę?”. Tu jestem tak blisko własnego głosu, jak to tylko możliwe. Wszystko, co napisałem później, jest jedynie rozszerzeniem pola naszkicowanego przez te linijki. Dlatego właśnie ten wiersz musi być drzwiami, które mogą otworzyć i wejść do historii mojej babci.